

Nigdy w Afryce nie byłem. Ale widziałem ją. Dwa razy.

Ze wzgórz okalających Malagę od północy widać ją niewyraźnie. Wyostrza się o zachodzie słońca, zwłaszcza w bezchmurną pogodę. Niebo o tej porze przybiera czasem niepokojącą marakujową barwę. W takim świetle góry po tamtej stronie wyglądają jak kreślone ołówkiem z twardym grafitem. Trwa to tylko kilka chwil i trzeba bardzo uważać, by nie przeoczyć kulminacji. Bo gdy słońce zetknie się z horyzontem, obraz znika.

Niekiedy powietrze jest rozedrgane i wówczas ostre kontury afrykańskich szczytów jakby miękną, już nie wycinają się tak zdecydowanie z marakujowego nieba. Fotograf powiedziałby, że ten obraz, tym razem spod miękkiego ołówka, to szumy. A ja za tym odległym widokiem – raz ostrym, raz rozedrganym, innym razem pływającym w powietrzu z chmurami, widziałem Afrykę ze swoich wyobrażeń, z dziecięcych lektur, z tęsknot, z opowieści. Afrykę wyobraźni – z daleka.

W andaluzyjskim porcie w Tarifie zobaczyłem Afrykę z bliska. Za wysoką na parę metrów, poszarpaną siatką stały – na wyciągnięcie ręki – promy monstra. Szedłem między nimi jak po jakim Wall Stretcie trzeciej kategorii, w dusznym cieniu, bo wiatr od morza przez tę ciasnotę nie mógł się przecisnąć, a słońce przebić. Ale był upał.

Wokół krzątały się jakieś podejrzane typy z paczkami, z tobołkami, w pośpiechu, ze spuszczoneymi głowami. A za siatką, przy promach, stali ludzie. Młodzi, szczupli, wysocy. Przybysze z serca Afryki, gdzieś z pustyni czy zza niej. W grupkach po kilku, w tych swoich nieśmiertelnych kurtkach i czapkach wełnianych, z dobytkiem w ogromnych torbach przewieszonych przez ramię, albo w dłoniach, albo pod nogami. Tylko mężczyźni, żadnych kobiet. Stali i patrzyli prosto w oczy. Milczeli. Oczekiwali. A ja poczułem się bezsilny. Uciekłem stamtąd szybko na słońce, na wiatr.

To też była Afryka – z bliska.

W tej książce zebraliśmy opowieści o Afryce oglądanej z perspektywy podróżnika – nieśpiesznego przechodnia. Przemierzającego uważnie rozliczne kraje i niezmiernie przestrzenie. Chłonnącego obrazy, poznającego dzieje, zwyczaje, religie, mity, obrzędy. A przede wszystkim chcącego zrozumieć drugiego człowieka.

Reportaże, proza literacka, eseje, relacje z podróży znanych polskich – współczesnych – autorów. Wszystkie były publikowane w „Kontynentach” w latach 2012-2017. A kryterium ich doboru? Proste, jak to w „Kontynentach” – liczy się opowieść.

Zatem:

Tu opowiada się o Afryce.

Dariusz Fedor

redaktor naczelny „Kontynentów”

Marcin Jamkowski

Dziennikarz, podróżnik, fotograf i filmowiec

Samaen, egzorcysta Koptów

Marcin, ty za blisko podchodzisz, jak zdjęcia robisz. Wygoniony Szatan może w ciebie wejść! Ale nic się nie bój, od razu ojciec Samaen ci w czoło krucyfiksem przyłoży i z ciebie też wygoni. Spoko.

– Jeśli nie byłeś na Mokattamie, to nie wahałeś nigdy smrodu. Nic nigdy nie zalepiło ci dziurek w nosie tak gęsto słodkawym, mdłym fetorem rozkładających się resztek jedzenia, smrodem świńskich odchodów, dymem palonego plastiku. Dziwisz się, że nie chcemy tu obcych? Naprawdę? A ty pokazałbyś gościom takie miejsce? Chciałbyś, żeby w tych swoich taksówkach złapanych w centrum Kairu, z otwartymi tylko na chwilę szybami – bo się boją zrygać od tych smrodów – robili ci zdjęcia długimi obiektywami, jak jakimś dzikim kotom na safari? „Och, jaką pan ma ciężką pracę”. No a jaką mam mieć?! Jestem chrześcijaninem w islamskim kraju. Rektorem stołecznego uniwersytetu to ja raczej nie zostanę. Ha, ha! I wy tak te śmieci zbieracie z całego Kairu? Mon Dieu! O la la! I przywozicie je tutaj? Ojej! I składacie je na parterach swoich domów? Incredible! I tam je przebieracie i segregujecie, a wasze dzieci w nich płasają, jak nasze na playgroundzie w Central Parku? I potem te posegregowane śmieci sprzedajecie?

„No to jest całkiem niesamowite. Patrz, kochanie, to niesamowite. No to na nas już pora. Bye!” . O, patrz, znowu jedzie jakiś, zaraz egzotyczne zdjęcie zrobi. No wezmę kamień do ręki, jak zobaczy, to może szyby nie uchyli. Nie, nie rzuciłbym, no coś ty! A w życiu! Agresja to nie ja. Ale złość mnie straszna bierze, jak mnie tak traktują. Jak eksponat, kurwa. Chodź do środka, sztangi poprzetrzucać, co tak stać będziemy na ulicy. Sami sobie tę siłownię zbudowaliśmy.

Dlaczego w ogóle z tobą gadam? Ty nie jesteś *zabbaliin* – śmieciarz jak my. Przyjechałeś z Bolandy i też nam robisz tu zdjęcia. Moglibyśmy cię przegonić jak innych. No ale ty zamieszkałeś tu z nami. W tym pierdolniku. Chodzisz do tych samych knajp co my, jesz to nasze najtańsze koszeri z mieszanego ryżu, makaronu i ziemniaków i pijesz kahłę – czarną jak smoła kawę z naszych małych szklanek. Nie brzydzisz się nam podać ręki. Zapamiętujesz nasze imiona. I palisz sziszę tak jak my. Nie te perfumowane tytonie dla pedałów z Hurghady, tylko mielone liście z oazy Ad-Dachla, które wozimy przez pustynię, jak z Kairu jedziemy odwiedzić nasze chrześcijańskie rodziny w Asjut. A ile to żon z tamtej wsi przy okazji do Kairu przywieźliśmy! Człowieku!

Ale ci powiem, dobrze się stało, że przyjechałeś tu z tym księdzem, z Mario, co się zajmuje klasztorem na wzgórzu. Ludzie od razu łaskawiej popatrzyli. No tak – byłem księdzem, klerykiem właściwie, masz rację. Tym wariatem, rzeźbiarzem, który na linach się wiesza i wycina w żywej skale Mokattamu święte płaskorzeźby. On też Polak? Co ty powiesz!

Tyle już tu u nas widziałeś... Do klasztoru jeszcze pójdziemy, tam ci egzorczymy pokażemy, chcesz? Że jak? Że nie wierzysz w egzorczymy? W ręczne wypędzanie diabła krzyżem? No to zobaczymy, jak ci włosy na plecach dęba staną. Jak ze strachu w majty narobisz, chłopaku, na widok kapłana, co Szatana wygania puknięciem w czoło drewnianym krucyfiksem.

Poczekaj, poczekaj, Marcin, a ty to nie jesteś czasem muzułmaninem? Jak to, skąd taki pomysł? Bo tatuazu nie masz! My wszyscy mamy. O tu, na dłoni. Pod kościołem go sobie jednego dnia śmignąłem. Zobaczysz sam w niedzielę, jak znów przyjedzie objazdowy punkt tatuazu. Każdy Kopt ma wytatuowany krzyż. Nie wiedziałeś? Zawsze gdzieś na wierzchu – najlepiej na dłoni. Piątkę przybijasz kolesiovi i od razu wiadomo, czy jest nasz, czy trefny jakiś. A zobacz Malika, to ten, co wyciska w kacie. Przy kciuku krzyż ma rzecz jasna wydziargany – taki trochę równiejszy od waszego, wschodni. Bo my w ogóle tak trochę bardziej wschodni, jak Grecy prawie jesteśmy katoliccy. Do tej samej Matki Boskiej się modlimy i Boga tego samego co i wy wzywamy, i Jezusa też, tyle że po arabsku. O, właśnie – sam zobacz, jak Malik wstał z ławeczki po wyciskaniu, to jego Jezus wydziargany na plecach wygląda od potu, jakby płakał, co nie? A zobacz Ahmeda – ma zwiastowanie na kłacie. Ten, co się podciąga na drążku, to Samuel – on ma na plecach ukrzyżowanie. Ja mam trzy tatuaze – Jezusa na bicepsie z boku, krzyż oczywiście na dłoni i Matkę Boską jeszcze. Czekać no chwilę, bo teraz moja kolej na wyciskanie. W imię-ojca-sto-dwadzieścia!

Chodźmy już do klasztoru. O, tam, na wzgórzu. Zobacz, kapłan idzie, poprosimy go o błogosławieństwo. No to co, że tak na ulicy? Chodź, nie zaszkodzi. Klęknij. No widzisz? Podziękuj. Po arabsku. Ślicznie.

Ostatnio z muzułmanami to burzliwie nawet było. Najechali nas tu z policją, że niby świńska grypa szaleje i Mubarak kazał stada świń powybić – chciał nam dopiec, bo oni przecież wieprzowiny nie jadają. Aleśmy ich przegnali z Mokattamu i nawet trochę ofiar było. Świeć nad nimi, Panie. Szkoda każdego. Ale to tutaj nic nowego, my tak tu z nimi niby sąsiedzi, ale od początku szorstko.

Skręcamy tutaj i jeszcze tylko kawałek pod górę. To święta góra. Dlaczego święta? To ty nie wiesz? Bo tu cud był! Nawet Marco Polo o nim pisał. W X wieku kalif Al-Muizz Li Din Illah przeczytał fragment Biblii: „Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarnko gorczycy, powiecie tej górze: »Przesuń się stąd tam!«, a przesunie się”. No i dawaj ten kalif do naszego patriarchy Abrahama, by przesunął górę Mokattam. O, tę wielką, co to dzielnica nasza śmieciarzy pod nią cała się rozłożyła. I powiedział mu tak: Jak się nie uda, to przechodzisz na islam, wyjeżdżasz z Egiptu albo głowę kładziesz pod topór. No i nie było wyjścia – dzień i noc się modlili nasi, aż tu trzeciego dnia... trach! – jak nie łupnie! Góra drgnęła. Kalif zwiął jak niepyszny, potem mówił wszystkim, że to trzęsienie ziemi tylko zwykłe było, jakie tu się zdarzają, ale my nie mamy wstydliwości, że to Bóg górę Mokattam dla patriarchy Abrahama kawałek przesunął.

My tu gadu-gadu, a na miejscu już jesteśmy. W górze Mokattam wykuliśmy własnymi rękami siedem kościołów. Po co aż tyle? Bo my, Koptowie, w jednym kościele tylko jeden raz dziennie mszę odprawiamy. Ten największy to Szymona

Szewca, świętego i cudotwórcy z X wieku – i klasztor, i kościół. Na kolana, szybko! Bo to sam ojciec Samaen przechodził. Na egzorcyzmy już idzie. Szybko, wchodźmy. Tylko ostrożnie, bo tu w dół po schodach stromo.

Słyszysz muzykę? To nasze modlitwy. Pieśni, psalmy, litanie. Ojciec Samaen już przed ołtarzem, zobacz. Jak ja widzę tę jego siwą brodę długą, to sobie myślę, że on jak święty wygląda. I jeszcze w tej czerni, taka godność z niego bije. Szatan to pryska z opętanych na sam jego widok! Jak to: „To śmieszne”? To normalne! Szatan wchodzi przecież w ludzi i w nich siedzi czasem. Kieruje ich losem, życiem, czynami i słowami. Siedzi jak jakiś wirus. I jak z chorobą do lekarza idziesz, tak z opętaniem do egzorcysty. Jak szukasz lekarza, to chcesz najlepszego. I egzorcystę też. A ojciec Samaen jest najlepszy z najlepszych. Sławę ma taką, że ludzie z całej doliny Nilu do niego się zjeżdżają, i znad morza, i z Synaju. A nawet z Sudanu. Czasami to nie tylko chrześcijanie tu przychodzą, ale nawet i muzułmanie, wiesz? Boże mój, jak mi ich żal. Jak oni się czują, gdy tak przed krzyżem, co w niego nie wierzą, muszą się ukorzyć? Ale leczy ich ojciec tak samo skutecznie jak i naszych.

Czasem trudno taki egzorcyzm idzie, oj, trudno, jak po grudzie. O, zobacz – ten młody w dżinsach przystojniak. On już tu trzeci raz przychodzi, a Szatan nie chce opuścić jego ciała. Rozmawiałem z jednym z kapłanów – mówił, że on cyrograf musiał spisać, pakt jakiś z diabłem zawrzeć i teraz nie chce się z niego wycofać, a Szatana pozbyć się bez tego nie da. Ciekawe, co mu obiecał w zamian. Kobietę może? Albo forsę dużo. Sam zobacz – tylko ojciec Samaen go pokropił święconą wodą i już w spazmach go wygięło. Jakby kwasem go

ktoś skrapiał! Mój Boże, ależ cierpi. Krzyż egzorcysty mu do czoła teraz przykładają, zobacz, jak się wije biedny, jakby oparzył go ten mały krucyfiks. O, a teraz ojciec Samaen tchnął w niego Ducha Świętego. I zobacz – upadł, turla się i krzyczy! Tylko co to za język? Suahili jakieś jakby, ale nie, to coś innego. Szatan przemawia przez niego po swojemu. Nie wierzysz? Ja na twoim miejscu przeżegnałbym się chociaż. Zobacz, przytomność chyba stracił. Nie, nie, wymiotuje żółcią. Szatan z niego wychodzi, może dziś się uda. Śpiewajmy, żeby dodać mu sił! Oj, bez przytomności coś tam jednak długo leży i chyba niewyleczony dziś on ci będzie z Szatana. Jeszcze tu wróci. Jeszcze tu wróci... Może ten diabelski kontrakt swój przyniesie wtedy. A ty coś widzisz, że pobladłeś. Co tam seplenisz? Średniowiecze? No nie przesadzaj. Facet dzinsy ma i zegarek, ostrzyżony modnie, żel na włosach. Tylko przypadłość ma taką, że go Szatan opętał. To nic takiego, radzimy sobie tu z tym przecież.

Ile ten ojciec Samaen ma sił do tej walki z Szatanem, sam zobacz, ile to już osób ustawiło się tu do niego. Boją się – to prawda, że strach widać po nich. Ściągnięte twarze, zgaszone spojrzenia. Jak wchodzą pojedynczo przed ołtarz, to nogi mają jak z waty. Popatrz na tę matkę, co syna trzyma w ramionach – upadł jak długi, kiedy ojciec Samaen diabła z niego wypędził. Ale nic to, zaraz i on do siebie tutaj dojdzie. A gdzie ten diabeł idzie, jak wychodzi z delikwenta? Chcesz wiedzieć? A to ciekaw jednak jesteś? Zdarza się, mój drogi, że w kogoś innego wchodzi od razu. Mieliśmy tu takie przypadki, że ojciec Samaen wyganiał Szatana przy ołtarzu, a tu fik!... ktoś z wiernych w drugim końcu kościoła pada jak długi. Od razu wiadomo, że to w niego

Szatan wlaźł. Zanieśliśmy takiego świeżo opętanego przed ołtarz i ojciec Samaen i z niego Złego wygonił raz-dwa. Ty blisko nich stoisz, jak zdjęcia robisz, to i w ciebie może taki wygoniony Szatan wejść. Ale nie się nie bój, od razu ojciec Samaen ci w czoło krucyfiksem przyłoży i z ciebie też wygoni! Spoko.

Zobacz, teraz będzie ciekawie, ta też z cyrografem przyszła. W tym woreczku ma jakieś magiczne przedmioty. Różne tu już widziałem – i krwią na papierze coś nabazgrane, i kurze łapy jakieś od wiejskich czarownic, i gwoździe jakieś pokrławione, i paznokcie brudne pozdzierane. Czego to Szatan nie wymyśli na człowieka pokuszenie. Mają tu jednego takiego w parafii, bardzo mocnego w wierze, i on te cyrografy pali od razu jeszcze w kościele. Czujesz smród? Czujesz. Poszedł kontrakt z dymem! O, widzę, że i gęsią skórkę masz. Przerażony? Każdy pierwszy raz jest przerażony. Ja też byłem. Teraz to w jakiś trans przy tych pieśniach wpadam. Oj, dobrze mi wtedy! Trochę słucham, trochę się modlę, cały czas się lekko kołyszę. Jest świetnie. Spróbuj. Czy wolisz zobaczyć, co z tą kobietą od cyrografu? Padła od przyłożenia krzyża do czoła. Ojciec Samaen ją podnosi, modli się i krzykiem nakazuje Szatanowi opuszczenie jej ciała. Raz, drugi i trzeci. Kobieta padła, ale wstała. O, zobacz, już o własnych siłach idzie. A jaka szczęśliwa! Jeszcze ojciec Samaen test przeprowadza. Wydaje jej proste polecenia, każe tupnąć nogą. Bo jeśli człowiek jest opętany, Szatan nie pozwoli mu wykonywać poleceń kapłana. A z nią, sam zobacz, wszystko dobrze.

Inkwizycja, mówisz? Szamaństwo? Nie, po prostu nie ogarniasz. Za bardzo jesteś racjonalny. Wy wszyscy przyjeżdżacie z tej swojej Północy i jesteście tacy, kurwa,

racjonalni i poukładani. Czasami to patrzeć na was nie mogę. Rzygać mi się chce. Jakby jeden już tylko wymiar Ziemia miała. Jakby duch zniknął. A tu proszę! Schodzisz do wykutego w skale kościoła i oglądasz wypędzanie Szatana! Jesteś świadkiem walki Wielkiego Dobra z Wielkim Złem! I co? I jak ten twój ciasny, ograniczony zachodni umysł to wytłumaczy? No jak?

Aniu, Mario, Magid – dziękuję

Tekst opublikowany pierwotnie w „Kontynentach” nr 2/2012

Wojciech Jagielski

Reporter, pisarz

Chciałem płynąć Kongiem w dół

Pierwszą podróż do Konga odbyłem na piechotę. Jak pielgrzymkę. Albo pokutę. Wydało mi się to właściwym sposobem wędrówki tam, „gdzie przykazań brak dziesięciu” – do krainy, w której zło kryjące się w ludzkiej naturze ujawnia się i bierze nad nią górę.

Wyruszyliśmy na kongijską stronę o świcie, by zdążyć przed nastaniem upału. Szybko zostawiliśmy za sobą Bujumburę i brzeg srebrzącego się poranną świeżością jeziora Tanganika. Dalej polna droga wiała się na wzgórze wśród falującej na wietrze, wysokiej słoniowej trawy. Nikt poza nami nie zmierzał do położonej na wysokim brzegu Uviry, jedynie w przeciwną stronę, w kierunku Bujumbury podążali z rzadka wieśniacy, pchając rowery obciążone piramidami kolorowych, plastikowych zbiorników z benzyną i olejem, workami z mąką. Jechali na targowiska w Bujumburze, by sprzedać towary, które odkupili za półdarmo od uchodźców Hutu z Rwandy, koczujących nad brzegami jezior Tanganika i Kiwu. Kongijczycy nie mogli się nadziwić, że biali z organizacji dobroczynnych już od ponad roku przysyłali Rwandyjczykom żywność, leki, koce, brezentowe plandeki i błękitną folię, którymi uchodźcy kryli swoje

chaty z bambusów, liści i trawy. Pomagali im z dobrego serca, choć uciekinierzy, zanim wcielili się w ofiary, sami byli okrutnymi zabójcami.

W spojrzeaniach, jakimi mierzyli nas wieśniacy, których mijaliśmy po drodze, nie było nieprzyjaźni, a jedynie ciekawość, a także pobłażliwość, jaką się ma dla kogoś, kto sam, z własnego wyboru, pakuje się w kłopoty. Ale wędrując drogą do Konga, nie czułem, by za moimi plecami zamykała się jakaś niewidzialna brama, odcinała drogę powrotu.

– Pańskie dokumenty są nieważne – spocony oficer lekceważąco rzucił paszport na lepiący się od brudu stół z surowych desek. – Może je pan sobie zabrać. Rozparty na krześle w baraku, nad którym powiewała zielona flaga ze złotym słońcem i płonąca czerwonym ogniem pochodnią, wyglądał na równie zaskoczonego, co rozbawionego całą sytuacją. Niewielu cudzoziemców przekraczało granicę w Uvirze. Dla niego taki poranek zapowiadał dobry dzień. Zażądał zaświadczeń potwierdzających obowiązkowe szczepienia. W ciemnej izbie panował ciepły zaduch. Zapadło kłopotliwe milczenie. Przez uchylone drzwi z ulicy wdierały się do środka krzyki żołnierzy i handlarzy walutą, dzwonki rowerów i wibrujące dźwięki dobiegającej z radia muzyki. Oficer otworzył szufladę i rozłożył na stole używaną strzykawkę i okrągłą, czarną od starego tuszu pieczęć.

– Pięćdziesiąt dolarów – powiedział.

Sięgnąłem po portfel, a on schował strzykawkę. – Cholera to bardzo groźna choroba – rzucił, pieczętując książeczkę szczepień. Za drzwiami, przy granicznym, przegradzającym

drogę szlabanie czekał inny żołnierz, który urzędowym głosem zażądał kolejnych pięćdziesięciu dolarów. – Opłata graniczna – wyjaśnił. Kazał podnieść ręce i ustawić się do rewizji. Przeszukanie prowadził bez pośpiechu, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Z kieszeni koszuli wyjął paczkę rothmansów i wyciągnął z niej garść papierosów. Trzeci żołnierz dopędził nas na piaszczystej drodze wiodącej do widocznej w oddali Uviry. Łapiąc oddech, domagał się dziesięciu dolarów. – Aux militaires (Na wojsko) – wydyszał.

Czwarty żołnierz chciał nas wziąć do niewoli jako szpiegów i najemnych żołnierzy nasłanych, by zabili prezydenta Mobutu Sese Seko. Wypatrzył nas na targowisku w Uvirze, skąd odjeżdżały autobusy do Bukavu. Podszedł do samochodu, zaglądając przez okno, zlustrował wnętrze pojazdu, zażądał, byśmy oddali mu paszporty i wysiedli. Kiedy odmówiliśmy, zaczął krzyczeć i wygrażał karabinem.

Po utarczkach z kongijskimi żołnierzami na granicy autobus do Bukavu wydawał się przyjazną oazą. Podróżni, objuczeni tobołami, cierpliwie czekając, aż kierowca uzbiera wystarczająco wielu pasażerów, zaczęli nas życzliwie, wypytywali o imiona, częstowali pieczoną kasawą i mandarynkami. Nienawidzili żołnierzy i bali się ich. Poza gwardią przyboczną, dbającą o jego bezpieczeństwo, Mobutu od dawna nie płacił swojemu wojsku żołdu. Skarżącym się żołnierzom powiedział kiedyś: „Jesteście solą tej ziemi. Życie z niej”. Żołnierze opuścili więc koszary i wmieszali się w lud. Na rogatek miast i na ważniejszych skrzyżowaniach pobudowali posterunki, a drogi przegrodzili zaporami, które usuwali dopiero po pobraniu

haraczu od kierowców i pasażerów. Inni krążyli na bazarach, ściągając od kupców podatek „na wojsko”. A gdy i tego było mało, nieopłacane stutysięczne wojsko urządziło dwie grabieżcze orgie, jakich nie widziała Afryka. Przez kilkanaście dni żołnierze jak szarańcza plądrowali bezkarnie w całym kraju sklepy, domy mieszkalne, hotele i biura, fabryki, magazyny i warsztaty samochodowe. Kongijczycy mieli aż nadto powodów, by przeklinać swoje wojsko. Właśnie ta wspólnota trwogi zdawała się przepełniać autobus poczuciem bezpieczeństwa. Ale kiedy zjawiał się wygrażający nam żołnierz, uśmiechy z twarzy kongijskich chłopów zniknęły, a wraz z nimi przepadło złudzenie wspólnoty. Z dobrej kryjówki autobus przemienił się w milczący amfiteatr wystawiający przedstawienie o przemocy i samotności upokorzenia. Wymachując karabinem, żołnierz domagał się, byśmy wysiedli. Sam jednak nie kwapił się wejść do środka, by nas zakuć w kajdany, wywlec na plac, poniżyć. W obawie przed zamachem stanu Mobutu wydawał pociski tylko najbardziej zaufanym oddziałom. Żołnierz przed autobusem na takiego nie wyglądał. Nosił za duży mundur, nie miał żadnych dystynkcji. Pewnie nie potrafił nawet strzelać, a karabinu używał jak maczugi.

W końcu, zniechęcony, dał za wygraną. Odgrazając się, że wróci z całym patrolem, zniknął wśród straganów na targowisku. Ruszył także autobus, upchany podróżnymi i ich bagażami. Do Bukavu dojechaliśmy o zmierzchu. Aby uniknąć następnych spotkań z mundurowymi, na dworcu wzięliśmy taksówkę do hotelu Orchidea. Położony na wysokiej skarpie nad jeziorem i strzeżony przez wynajętych wartowników, był ulubionym miejscem miejscowych bogaczy i cudzoziemców.

Na popękany trotuarze przed wejściem do hotelu zatrzymał nas patrol żandarmerii. Dowodzący nim niski sierżant o twarzy poznaczonej bliznami zażądał, by pokazać mu paszporty. Kartkował je w milczeniu, strona za stroną, powoli, jakby celebrując przyjemność. Pozostali żandarmi zerkali mu przez ramię na postemplowane wizami paszportowe kartki.

– Muzungu, widzę strach w twoich oczach – rzekł sierżant, zwracając paszporty. – Nie bój się, jestem twoim przyjacielem. Bardzo mi się podoba twój zegarek. Może mi go podarujesz w dowód przyjaźni?

W hotelu uprzejmy recepcjonista wręczył nam klucze i zaprosił do baru. – Na koszt firmy – powiedział. – Nie jesteśmy złymi ludźmi. To życie sprawia, że czasem takimi się stajemy.

Kongiem rządził wtedy Mobutu Sese Seko, były sierżant, który dokonał zamachu stanu, a jako prezydent rozkazał tytułować się marszałkiem. Panował już czwartą dekadę, niemal tyle, ile istniało niepodległe Kongo. Nic dziwnego, że przywykł uważać państwo za swoją własność. Nie rządził nim, lecz władał, posiadał. Przed nim Kongo miało tylko jednego władcę, króla Belgów Leopolda II. Dzięki swojej przebiegłości, której dorównywały jego chciwość i mania wielkości, omamił mocarstwa Zachodu, które podbiwszy świat, dzieląc między sobą zdobycze, zgodziły się oddać Belgowi kongijski interior, serce Afryki uznane za kolonię nieopłacalną, bo zbyt odległą, niedostępną. Leopold otrzymał na własność terytorium prawie sto razy większe niż jego królestwo.

Kongo okazało się skarbem. Ale by go zdobyć, należało zapuścić się daleko w głąb zakątków nieznanymi, tajemniczymi i groźnymi. Tylko Leopoldowi nie zabrakło śmiałości i pychy, by to zrobić. Rozgłaszał, że będzie w Kongu walczył z niewolnictwem, niósł chrześcijańską wiarę, krzewił postęp i swobodę handlu. W istocie zaś od początku miał na względzie tylko zysk i wszechwładzę. Kongo stało się jego plantacją, kopalnią, łowieckim terytorium. Tubylców, którzy przypadli Leopoldowi wraz z ziemią, uważał za swoją własność, tak samo jak kość słoniową, diamenty czy kauczuk. Potrzebni byli tylko po to, by pomnażać bogactwo i wielkość władcy.

Pomniejszych „leopoldami”, naśladującymi króla, byli jego namiestnicy i zarządcy. Posłani w głąb kongijskiego interioru, na koniec świata, z dala od wszystkiego, stanowili o życiu i śmierci. Władza, jaką otrzymali, i swoboda czynienia wszystkiego, co się chce, kusiły tak bardzo, by poznać granicę bezkarności i zła, że prędzej czy później niemal wszyscy, niezauważenie dla siebie, przechodzili na drugą jej stronę.

„Vive le Congo, nie ma nic lepszego nad nie!”. W kongijskiej opowieści „Duch króla Leopolda” Adam Hochschild przytacza list pewnego młodego białego oficera, który zaangażował się na służbę u belgijskiego króla. „Tutaj jest się prawdziwie wolnym! Tu jest się wszystkim! Bo czemu nie!”.

Tak zachowywali się wszyscy władcy Konga. Mobutu, dawny poddany Leopolda, który przejął po nim obdarowane niepodległością Kongo, władał nim jak belgijski król, a jego gubernatorzy, generałowie i urzędnicy – jak Leopoldowi namiestnicy. Władzę oznaczającą dostęp do bogactwa i panowanie nad innymi, a przede wszystkim

wyzwolenie z roli bezwolnych ofiar, dawały fotel prezydencki w Kinszasie, ale także mundur, karabin czy pieczęć.

Pogodzeni z losem Kongijczycy zdawali się zresztą niczego innego ze strony wielkich i pomniejszych władców nie spodziewać. Czasami tylko wybuchały zbrojne bunty, których przywódcy obiecywali wielką zmianę. Nie potrafili jednak nigdy jej przeprowadzić, a w końcu sami z rewolucjonistów przeradzali się w kolejne wcielenia Leopolda.

W partyzanckim sztabie w Gomie przystemplowano mi wizę, zezwolenie na poruszanie się po terytoriach objętych rebelią. Z pieczęci w paszporcie zerkał uśmiechnięty Simba, bohater rysunkowego filmu „Król Lew”, który oglądałem z synem przed wyjazdem do Konga. Postać z dziecięcej kreskówki, nawet nie Król Lew, lecz rozbrykane lwiątko, została wybrana przez powstańców na herb rewolucji.

Mobutu nosił szaty z lamparcich skór, a lew wybierany był zawsze na sztandary przez buntowników. „Simbami – lwami” nazywali siebie już rebelianci, którzy wznieśli na wschodzie kraju powstanie wtedy, gdy Mobutu ogłaszał się prezydentem. Do „lwów” należał także przywódca nowej rebelii Laurent-Désiré Kabila. Tamto powstanie Mobutu stłumił, a jego przywódców powywieszał. Kabila po trzydziestu latach tułaczki wrócił, by się zemścić i odebrać Mobutu królestwo, które doprowadził do upadku. Władza była dla niego wszystkim, ale rządzić nie potrafił. Wystarczyło dziesięć lat, by jego państwo stało się bankrutem, dżungla zarastała zaniedbywane plantacje i przez nikogo nienaprawiane drogi, linie kolejowe i lotniska. Kraj stał się nieprzejezdny. Musele, którego wynająłem w Gomie na